

ERICA HELLER



KIEDY JOSEPH HELLER BYŁ OJCEM,
A ŻYCIE - „PARAGRAFEM 22”...

TU SPAŁ YOSSARIAN

*Żydowska żona może wybaczyć i zapomnieć, ale
nigdy nie zapomni tego, że wybaczyła.*

przysłowie żydowskie

Wstęp

— Od jakiego Joego? — zapytała matka szczerze, bez udawania, leżąc na szpitalnym łóżku. Przeczytała wizytówkę dołączoną do pięknego bukietu, który jej właśnie doręczono.

— Joego Hellera — wyjaśniłam.

Przeraziłam się, że tego nie wie ani się nie domyśla, ale przecież znajdowałyśmy się w Sloan-Kettering. Był rok 1995, matka umierała i choć rodzice byli małżeństwem przez trzydzieści osiem lat, przed dwunastoma laty rozwiedli się w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach i od tamtej pory ze sobą nie rozmawiali. Może więc nie powinnam aż tak się niepokoić, że teraz wyteża pamięć, usiłując przypomnieć sobie znajomych Joe nie-Hellerów. Wzięłam od niej wizytówkę, odczytałam głośno: *Moja kochana Shirley, tak mi przykro, Joe, i jej oddałam.*

Kiedy wyjaśniłam, kto przysłał kwiaty, matka odezwała się powoli i bez urazy:

— Rzeczywiście, to bardzo współczujący człowiek. — Zmięta wizytówkę i wrzuciła ją do żółtego plastikowego kubelka na śmieci, który stał przy łóżku.

— Ale przysłał ci kwiaty. — Mimo wszystko miałam nadzieję, że usłyszę od niej coś więcej. — Przecież są od taty. Nie podobają

ci się? — naciskałam, podpowiadając jej jak sufler. Popatrzyła na mnie, nieporuszona i nieugięta.

— Rozumiem przekaz. Wiem, o co chodzi — uspokoiła mnie. — Ale czego ode mnie oczekujesz? Że będę skakała z radości, świętowała z tego powodu? Mam wynająć żonglerów? — Potem wymamrotała coś, co na moją prośbę musiała powtórzyć dwa razy, tak cicho mówiła. A potem zamknęła oczy i nigdy więcej nie wracałyśmy do sprawy kwiatów przysłanych przez ojca.

Matka była już wtedy łyśa i strasznie słaba. Po tym, jak pół roku wcześniej usłyszała diagnozę, zabrałam manatki z mieszkania przy Upper East Side i przeprowadziłam się do Apthorp, do apartamentowca, w którym się wychowałam. Chciałam opiekować się nią jak należy i jak długo będzie trzeba.

Od dnia, w którym wróciłam, niezależnie od tego, czy matka przebywała w domu, czy w szpitalu, co zdarzało się coraz częściej, ojciec, zbyt uparty albo zbyt przejęty jej chorobą, ani razu do niej nie zadzwonił i z nią nie rozmawiał. Dzwonił natomiast do mnie. Co wieczór o nią wypytywał, zadając mi niezmiennie te same pytania: czy jadła, czy była tego dnia na świeżym powietrzu, czy spała, co mówią lekarze, czy wzięła wszystkie lekarstwa i czy nie zapomniałam dać jej witamin? A ja co wieczór odpowiadałam, coraz bardziej zdziwiona jego zainteresowaniem i troską, choć, jak podejrzewam, nie bardziej zdziwiona od niego samego.

W miarę jak stan matki się pogarszał i przechodziła kolejno operację mózgu, operację płuc, chemioterapię i radioterapię, poznawałam po jego głosie, że trudno mu opanować strach i mówić spokojnie. Wiedział, że ją stracimy. To była tylko kwestia czasu. Oficjalnie rodzice stracili siebie nawzajem już przed laty, to pewne, ale nie ulegało wątpliwości, że ojciec jest do niej bardzo przywiązany. Wciąż łączyła ich niezwykle silna więź.

Nawet po latach było wiadomo, że nikt nie rozumiał ich lepiej niż oni siebie nawzajem. I że nikt nigdy nie zrozumie. Po śmierci mamy ten aspekt życia ojca miał przestać istnieć i przez cały tamten

czas byłam tego boleśnie świadoma. Wyczuwałam u niego lęk przed tym — czał się tuż pod skórą, pod maską opanowania i chłodu, którą zwykle zakładał i którą przeważnie trudno było przeniknąć.

Kiedy ojciec dzwonił w tamte wieczory, nie był kapryśnym sławnym pisarzem, szorstką, arogancką osobistością, zadowolonym, pewnym siebie bufonem, który czasami zjawiał się na koktajlach u znajomych tylko po to, żeby ich urazić. Nie był tym bystrym, złośliwym mistrzem słownych arabesek, który od lat na pytanie: „Jak to się stało, że nie napisał pan nic równie dobrego jak *Paragraf 22*?” odpowiadał przebiegłym, talmudycznym: „A kto napisał?”, jakby naprawdę chciał wiedzieć, i zbijał tym rozmówcę z tropu. Podczas tych naszych wieczornych rozmów nie był nadęty ani zadowolony z siebie. Był tylko smutny. Chciał po prostu pogadać i nie utrudniałam mu tego.

Później, miesiąc przed śmiercią matki, kiedy zabrano ją do Sloan-Kettering, jak się wydawało, już po raz ostatni, i ojciec zadzwonił wieczorem, byłam zbyt wykończona, żeby tłumić w sobie to wszystko, co chciałam mu powiedzieć od czasu, gdy matka dowiedziała się o chorobie. Do tej pory nie miałam odwagi ani nie znajdowałam właściwych słów, żeby to z siebie wyrzucić.

Oświadczyłam mu więc, że musi skontaktować się z matką, bo jeśli tego nie zrobi, nigdy sobie nie wybaczy.

— Jak będziesz z tym żył? Jak będziesz mógł spokojnie spać? — zapytałam nietypowo głośno. Słuchał w milczeniu i mogłam go sobie wyobrazić siedzącego w cytrynowożółtym gabinecie w East Hampton, gdzie mieszkał, i zżymającego się na samą myśl, że łąje go córka. — Zadzwoni. Napisz do niej. Wyślij kwiaty. Zrób cokolwiek. Nie zostało już dużo czasu i jeżeli się nie odważysz, zawsze będziesz tego żałował. — Zawahałam się, bo nagle uświadomiłam sobie, jaka jestem stanowcza, i przestraszyłam się tego. Oczywiście po drugiej stronie zapadła gniewna cisza. Kiedy tata wreszcie się odezwał, mówił potulnie jak dziecko:

— Ja ci nie mówię, co masz robić. — I rozłączył się, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

I właśnie następnego ranka, gdy siedziałam przy matce w szpitalu, rozległo się pukanie do drzwi i po chwili do pokoju wszedł sanitariusz z bukietem kwiatów. Od taty.

Kiedy tego wieczoru wróciłam do domu, telefon już dzwonił. Ojciec chciał wiedzieć, czy mama dostała kwiaty, a jeśli tak, to czy jej się podobały. Zapewniłam go, że kwiaty doręczono i że były piękne.

— A co na nie powiedziała? — zapytał z pewną niecierpliwością i wtedy ja z kolei zamilkłam.

Po rozwodzie przez całe lata ojciec błagał mnie i końcu zaoferował ogromną łapówkę wysokości dziesięciu tysięcy dolarów w gotówce, żebym tylko zdradziła mu sekretny przepis mamy na wołowinę duszoną z warzywami. Jej samej przekazała go matka, babcia Dottie, i potrawa ta była dla niego jak kryptonit dla Supermana. Pod jej wpływem robił się słaby, przymulony, wręcz kretyniał z błogości i ugiął się pod nim nogi.

Matka, gdy dostała kwiaty, przymknęła oczy i mruknęła do mnie:

— Tylko nie dawaj mu przepisu na wołowinę. Choćby nie wiem co. — A potem zapadła w sen.

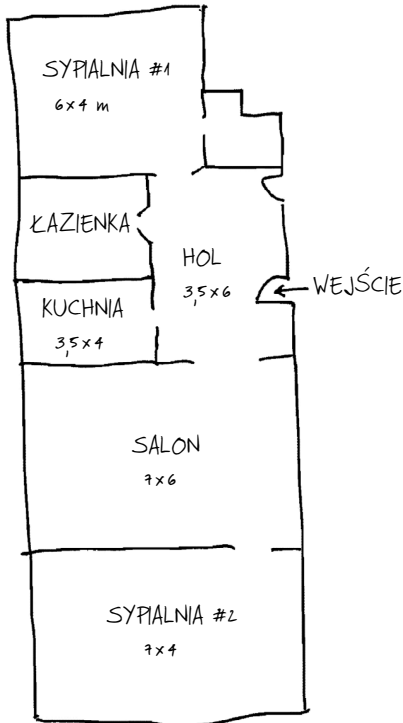
Nie powiedziałam mu tego, nie wykorzystałam smutnej chwili, gdy był w tak nietypowy dla siebie sposób pokorny i bezbronny, bo nie chciałam, żeby było mu jeszcze ciężej.

A z drugiej strony, nigdy nie zdobył tego przepisu.

CZĘŚĆ 1

Apartament 2K South

Skromne początki:
w Apthorp, ale nie bez haczyka



1952–1962

Niewątpliwie dziwna to była dzielnica, by tu zamieszkać. Drobnikrawcy, wypychacze ptaków i ludzie „piszący” — to jej najbliżsi sąsiedzi.

Edith Wharton o Nowym Jorku, *Wiek niewinności**

Smutek i Pitti

Patrząc z perspektywy czasu, to, że rodzice w 1952 roku zamieszkali w Apthorp, było całkiem logiczne. Historia tego miejsca ma niezaprzeczalnie komiczny, częstokroć teatralny wydźwięk, pełen zarówno wysokich, jak i niskich tonów. Było to więc idealne miejsce dla Joego i Shirley Hellerów z ich nieustannie zawodzącym dzieckiem, czyli, zrzędzeniem losu, mną.

Od czasu powstania w 1908 roku Apthorp był dziwnym, legendarnym, okazałym budynkiem mieszkalnym na Manhattanie, o którym krążyły fascynujące anegdoty i plotki, wzniesionym przez ekscentrycznego i sprytnego wyzyskiwacza, Williama Waldorfa Astora, pałacem z kamienia, z wewnętrznym dziedzińcem. Później stał się nieodłącznym elementem ekskluzywnego Upper West Side. Ale w 1952 roku istniał pewien haczyk.

Trzeba zacząć od tego, że lokalizacja była nieciekawa: miejsce niebezpieczne, szpetne i brudne. Prestiż tej ubogiej okolicy, a co za tym idzie, astronomiczne ceny nieruchomości, wzrosły dopiero później i przez większość swojej historii Apthorp górował nad ponurą, nędzną dzielnicą, goszczącą ćpunów, dziwki, alfonsów,

* Przekł. U.Ł. Zabłocka, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1995.

bandytów i gangsterów. Tuż za statecznymi bramami z kutego żelaza wznosił się drugi, tylko skromniejszy, Palazzo Pitti, ulokowany w samym środku Dodge City. Co więcej, ten wątek jego dziejów, który wiąże się z szaleństwem, niefrasobliwością i absurdem, sięga niemal stu lat przed wzniesieniem samego budynku i bierze początek na farmie nękaney pozwami sądowymi jeszcze sprzed rewolucji amerykańskiej, które rozstrzygnięto dopiero w 1902 roku. To szczególne piętno szaleństwa Apthorp, i to bardzo gwałtownego, jest udokumentowane i wręcz rodowodowe.

Gdy byłam małą, ojciec uwielbiał chować mnie w szafie, kiedy matka wychodziła z domu — to był jego ulubiony żart. Gdy wracała, czekał, kiedy zauważy, że dziecka nie ma. Kilka lat później, gdy chodziłam do szkoły podstawowej, brat i ja czasami bawiliśmy się w sobotnie albo niedzielne popołudnia na dziedzińcu i ojciec, który pisał w domu, zapowiadał nam, że będziemy mogli wrócić tylko wtedy, gdy przyniesiemy mu pizzę. Pizza stanowiła przepustkę. Nasza rodzina niewątpliwie wniosła wkład w podtrzymanie zwariowanej legendy Apthorp i w następnych latach to się nie zmieniło.

Kiedy z nastaniem lepszej pogody w naszym mieszkaniu od podwórka robiło się ciepło, życie w środku nabierało wyraźnego zapachu. Tuż pod naszymi oknami mieścił się salon piękności, a że wiatr na dziedzińcu był rzadkością, przez otwarte okna, szczególnie w upalne dni, wpadała ostra woń amoniaku i wody utlenionej. Napływała do mieszkania i w nim osiadała. Cokolwiek więc matka podawała na obiad, pachniało, jakbyśmy robili sobie trwałą.



Z archiwum autorki

Mama i ja, 1952 rok.

Dramatyczne historie i zła sława to kwintesencja Aphthorp. Przez wiele lat w budynku mieszkali Nora Ephron z mężem, Nicholasem Pileggim. Scenarzystka poświęciła temu nawet zjadliwy tekst dla „New Yorkera” pod tytułem *Moving On, A Love Story* (Idąc naprzód. Historia miłosna), kiedy w 2006 roku przenieśli się na East Side, bo mieli już dość wkurzających ekscentryczności i dziwactw Aphthorp, a także tamtejszych horrendalnych „godziwych” czynszów. „Godziwy” to takie pojemne słowo.

Ojciec napisał większość *Paragrafu 22* w apartamencie 2K South, pracował rano i wieczorem, po powrocie z przyjemnej, choć prozaicznej pracy copywritera w agencji reklamowej. Mieszkanie było ciasne i dość ciemne. Miało jednak mnóstwo charakterystycznych detali, nic więc dziwnego, że wynalazca szczególnej odmiany rozumowania cyrkularnego mieszkał w apartamencie na pierwszym piętrze z widokiem na okrągły podjazd od frontu i wewnętrzny dziedziniec. Gdy miał przedstawić światu nowy rodzaj pokrętnego nieracjonalnego racjonalizmu, żył w

miejscu, które samo w sobie było bardzo specyficzne i niezwykle,
i z biegiem czasu cechy te stały się jeszcze bardziej wyraziste.

- *Jak pan znajduje kurczę?*
- *Gorzej niż ziemniaki.*

typowy dowcip kelnerów u Grossingera
z 1945 roku, od Tani Grossinger,
Growing Up at Grossinger's
(Dorastając u Grossingera)

Stracić norki, zyskać mieszkanie

W 1952 roku, żeby zdobyć mieszkanie w Apthorp, który stoi między Siedemdziesiątą Ósmą i Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicą i między Broadwayem i West End Avenue, należało tylko wpłacić zaliczkę. A ponieważ czynsze w tamtych czasach były zaskakująco rozsądne, zaliczki także nie porażały wysokością. Wystarczyło przyjść do administracji budynku i jeśli chciało się dostać w nim mieszkanie, to się dostawało. Czynsze przeważnie nie przekraczały dwustu dolarów miesięcznie, a często nie wynosiły nawet połowy tej sumy. I dopóki siedziało się w swoim mieszkaniu i nie wychodziło za imponujące bramy budynku na Broadway, z panującą na nim nędzą i przemocą, życie było wspaniałe. A rodzice nie zapuszczali się na Broadway.

Pobrawszy się w 1945 roku w Nowym Jorku, natychmiast wyruszyli pociągiem do Kalifornii, gdzie ojciec zapisał się na Uniwersytet Południowej Kalifornii, a po roku wrócił na Uniwersytet Nowojorski. Studiował tam pisarstwo i w 1948 roku zrobił licencjat, a rok później magisterium na Columbii. Ponieważ uzyskał stypendium Fulbrighta, zakończył edukację, spędziwszy razem z moją matką rok w Oksfordzie.

Podczas pobytu w Nowym Jorku mieszkali w kamienicy z charakterystyczną dla Manhattanu elewacją z piaskowca, stojącej

zaledwie kilka przecnic od domu moich dziadków ze strony matki, Dottie i Barneya Heldów. Pod koniec lat czterdziestych dziadkowie przeprowadzili się z Brooklynu na Riverside Drive i Siedemdziesiątą Szóstą Ulicę. Małe mieszkanie, które wynajmowali rodzice, należało do jednej ze znajomych babki „od kart”, niejakej Pearl Marx, szykownej i kutej na cztery nogi bizneswoman w czasach, gdy nie spotykało się tego typu kobiet.

Ponieważ obie strony były zadowolone z takiego układu, rodzice mieszkali tam sobie wygodnie — choć pod czujnym okiem znajomej dziadków — przez kilka miesięcy, aż do pewnego dnia, kiedy to mieszkanie pani Marx zamieniło się raczej w lokum braci Marx. Któregoś śnieżnego wieczoru, gdy matka i ojciec wracali do domu z późniejszej kolacji, zobaczyli w holu jakiegoś mężczyznę. Miał przyjemną powierzchowność, był dobrze ubrany i na widok matki nawet uchylił kapelusza, gdy wchodzili do budynku, a on z niego wychodził. Ale kiedy ich mijał, matka zauważyła, że niesie futro z norek, bardzo podobne do jej futra, o czym powiedziała ojcu. Oczywiście nie było takie samo, po prostu należało do niej. W chwili gdy włożyli klucz do zamka, zorientowali się, że mieszkanie zostało splądrowane. Następnego dnia przeprowadzili się do moich dziadków przy Riverside Drive i mieszkali u nich, aż ojciec przyjął wiosną posadę wykładowcy na Uniwersytecie Stanowym Penn. Mieszkali poza Nowym Jorkiem do 1952 roku, kiedy to wrócili i znowu osiedli bezpiecznie na orbicie babci i dziadka.

Na początku relacje między Joem Hellerem a jego teściami były proste i zadowalające. Moi dziadkowie należeli do największych wielbicieli taty. Babka nie tylko zaoferowała mu mieszkanie, wyżywienie i pieniądze na wydatki, dopóki nie ukończy studiów, ale także oddała mu coś znacznie cenniejszego: swoją jedyną córkę.

Zimą 1945 roku, kiedy mama miała dwadzieścia jeden lat, babcia zabrała ją i swojego młodszego syna do Grossingera w Catskills — żydowskich Alpach — żeby poodychali świeżym powietrzem i zażyli trochę ruchu. Dziadek został w mieście, by

pracować. Był jednym ze współników w firmie Queen Casuals Sportwear i gdy tylko mógł się urwać, był częstym bywalcem na wyścigach w Belmont i Aqueduct.

Gdy tamtego popołudnia meldowali się w dużej hotelowej recepcji, babcia zauważyła chudego chłopaka w wojskowym mundurze, pajacującego w gronie znajomych. Trzymał w ustach wykałaczkę i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Gdy tak stał i obserwował tabuny gości przewalających się przez przestronny hol hotelu, w pobliżu kręciły się dziewczęta w jego wieku, niejednokrotnie z matkami. Była zima i większość z tych dziewcząt nosiła futra, a pod nimi drogie stroje i biżuterię.

Babcia przyjrzała się chłopakowi i podслуchała jego rozmowę z recepcjonistą. Pytania, które zadawał, wydały jej się interesujące. Później nie potrafiła powiedzieć, co takiego w nim do niej przemówiło. Na pewno spodobał jej się brooklyński akcent. Poza tym chłopak był zabawny i z całą pewnością błyskotliwy. Nie tracąc czasu, żeby ubiec wszystkie pozostałe matki, które mogłyby zrobić to samo, podeszła do niego i wypowiedziała fatalne słowa, nieświadomie powielając schemat:

— Mam dla pana dziewczynę!

W tamtych czasach ludzie naprawdę mówili takie rzeczy. On popatrzył na nią uważnie.

— Wszyscy, których znam, mają dla mnie dziewczyny — odparł.

— Naprawdę? Ale ta jest ruda i ma piegi.

Chłopak się skrzywił.

— Nie znoszę rudych. A jeszcze bardziej piegowatych.

I na tym by się skończyło, lecz babcia należała do tych, którzy łatwo się nie zniechęcają i niepowodzenia tylko podsycają w nich chęć walki. Gdy chłopak podpisał się w księdze gości i razem z kolegami wziął bagaże, rzucił, przechodząc obok babci:

— Do zobaczenia, mamuśka. — A ona na zawsze zapamiętała szelmowski uśmiech, który temu towarzyszył.

Dottie Held, czyli babcia,
1949 rok.



Z archiwum autorki

Ojciec był na urlopie po odbyciu sześćdziesięciu lotów we Włoszech podczas wojny, która miała potrwać jeszcze cały rok, do czasu pokonania Japonii. Ale on, chłopak z Coney Island, skończył już z lataniem i wrócił do domu. Do Atlantic City przyplłynął parowcem z Neapolu. I choć jeszcze o tym nie wiedział, w dniu, w którym przyjechał do Grossingera, stanął w obliczu dwóch sił, prawie tak samo niepokonanych jak niemiecki batalion, który napotkał na włoskim niebie. Pierwszą była moja babcia Dottie. A drugą — miłość.

Tamtego wieczoru w zadymionym, tłoczonym Terrace Room odbywał się turniej taneczny i orkiestra grała tango, cza-czę, mambo oraz rumbę. Gdy babcia, siedząca obok córki, dostrzegła mojego ojca przy stoliku po przeciwnej stronie sali — był, tak jak poprzednio, w towarzystwie kolegów — bez chwili wahania znowu do niego podeszła.



National Archives

Od lewej do prawej: por. Clifford (pilot), por. Chrenko (drugi pilot), st. sierż. Rackmyer (strzelec ogonowy), por. Heller (strzelec bombowy-nawigator), st. szeregowy Zaboly, st. sierż. Schroeder (strzelec-radiotelegrafista) i st. sierż. Ryba (strzelec) — kolejna załoga czterystaosiemdziesiątkiosemki. Te nazwiska figurują na liście pasażerów lotu z 7 czerwca do Genciny we Włoszech.

Zapytała ojca, czy będzie jej partnerem podczas turnieju, a on, pod wrażeniem niezwyklego tupetu tej kobiety, wyraził zgodę. Orkiestra zagrała przebój Xaviera Cugata *Weekend at the Waldorf*. Babcia i mój ojciec wygrali turniej. Dostali w nagrodę butelkę szampana i kiedy podeszli do stolika babci, żeby ją otworzyć, tata spojrzął na mamę i stracił głowę. Zobaczył rude włosy, piegi i wszystko inne. Reszta, jak to mówią, jest tajemnicą.

Spędzili razem cały tydzień u Grossingera i wtedy powiedział jej, że zamierza zostać pisarzem, i to nie byle jakim, ale wielkim, i że napisze książkę mówiącą wszystko o drugiej wojnie światowej. Potem, gdy on wrócił do bazy lotniczej w San Angelo, a ona do

domu przy Riverside Drive, korespondowali ze sobą nieprzerwanie. Ojciec często do niej telefonował i gdy tylko mógł, przyjeżdżał do Nowego Jorku i umawiał się z nią wieczorami.

Shirley Held urodziła się w Bushwick na Brooklynie, gdy tamtejsze domy miały ganki i zadbane bujne ogródki z krzewami róż. W połowie szkoły średniej przeniosła się do elitarniej Highland Manor, którą z koleżankami nazywały elegancko Highland Manure*. Z całą pewnością moich dziadków nie stać było na taką szkołę i dlatego — co równie pewne — babcia się przy niej upierała. Kiedy Dottie wbiła sobie do głowy jakąś irracjonalną ekstrawagancję, racjonalne argumenty zdawały się na nic.

Po szkole średniej matka przepracowała dokładnie pół dnia w dziale obuwniczym Bergdorfa Goodmana, gdzie, jak twierdziła, nawet jej się podobało. Ale rzuciła tę robotę już przed lunchem pierwszego dnia, bo usłyszała, jak dwaj kierownicy działów opowiadają sobie antysemickie dowcipy. Przed odejściem kupiła niepraktyczne butelkowitzelone buty ze skóry aligatora, najdroższe w całym dziale, i wyszła z wysoko podniesioną rudą semicką głową. W przeciwieństwie do tych, którzy w pracy zarabiali, kariera w handlu kosztowała ją siedemdziesiąt sześć dolarów i ta posada, jak się okazało, była jej ostatnim płatnym zajęciem przez następne czterdzieści lat.

Po jakichś sześciu miesiącach zalotów, pod presją babci (która zresztą wybrała pierścione), rodzice się zaręczyli. Zamierzali pobrać się w sierpniu, ale w międzyczasie Shirley się rozmyśliła. Któregoś wieczoru oznajmiła babci, że tak naprawdę nie kocha mojego ojca i chce zerwać zaręczyny. A ponieważ bała się zrobić to sama, poprosiła babcię, żeby napisała w jej imieniu do Joego Hellera, zerwała zaręczyny i odesłała mu pierścionek.

Jednak prosić babcię o tego rodzaju pośrednictwo to było jak poprosić Hermanna Göringa, żeby zapalił świece szabasowe. Dottie

* *Manor* (ang.) — rezydencja; *manure* — łajno.

nie zamierzała dopuścić do zerwania zaręczyn. Natychmiast wstała, pobiegła do telefonu, zadzwoniła do mojego ojca do Teksasu, uprzedziła go, że jej córka ma wątpliwości, i kazała mu przyjechać do Nowego Jorku *tout de suite*. Ojciec czym prędzej wsiadł do pociągu i kiedy dwa dni później zjawił się przy Riverside Drive — wściekły, nieprzytomny z miłości, bez grosza przy duszy i nieogolony — matka spojrzała na swojego przystojnego, zapuszczonego Romea i wyznała mu miłość. I zamiast odwołać ślub, przesunęli go o kilka miesięcy, na październik.

Gdy w 1952 roku ojciec odchodził z Uniwersytetu Penn i rodzice zamierzali wrócić do Nowego Jorku, dziadkowie nie mieli wątpliwości: nowe mieszkanie musiało gwarantować córce i zięciowi bezpieczeństwo, może nawet mieścić się w budynku z portierem. Ale musiało także mieć odpowiednio przystępny czynsz. I znajdować się w pobliżu. Jak się okazało, dla babci wszystkie dostępne mieszkania znajdowały się za daleko, były zbyt drogie, zbyt brzydkie albo miały te wszystkie wady naraz.

Wtedy, pewnego wieczoru, dziadek, wracając z pracy do domu, wyszedł ze stacji metra na Broadwayu i zobaczył idealne miejsce — Apthorp. Oczywiście przechodził obok niego kilka razy dziennie, ale nigdy nie brał go pod uwagę, bo zakładał, że czynsze muszą być astronomiczne. Teraz jednak wstąpił z ciekawości do biura administracji, by spytać, czy są wolne mieszkania, i ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu otrzymał odpowiedź twierdzącą.

Oboje dziadkowie wierzyli, że dzięki talentowi mojego ojca rodzice katapultują się na znacznie wyższy poziom życia, więc decyzja o zamieszkaniu w Apthorp wydawała im się jak najbardziej uzasadniona. Dottie żywiła głębokie przekonanie, że to dla nas odpowiednie miejsce. Lokalizacja nie była tak elegancka jak Riverside Drive, z widokiem na rzekę Hudson i własny skrawek nieba w górze, ale i tak wydawała się bardziej niż satysfakcjonująca.

Babcia podreptała do administracji Apthorp rano następnego dnia po tym, jak dziadek przeprowadził tam rekonesans. Było tak

wcześniej, że kiedy przybyła na miejsce z potwierdzeniem wpłaty zaliczki, jeszcze się nie rozwidniło. Tak się spieszyła, że po drodze złamała obcas, ale to jej nie powstrzymało. Odszukała administratora, obudziła go i jakimś sposobem namówiła, żeby pokazał jej mieszkanie, o którym mówił dziadek — jedno z mniejszych, na pierwszym piętrze, z widokiem na podwórko, dostępne i czekające na nowych lokatorów.

Przysiadła na kaloryferze w pustym lokalu i spokojnie zaczęła, aż wszędzie słońce, żeby obejrzeć wszystkie pomieszczenia. Zrobiwszy to, nie miała wątpliwości, że znalazła odpowiednie lokum.

Zwykle to mój dziadek grał na wyścigach, typując czarnego konia, i rzadko, jeśli w ogóle, coś wygrywał. Tym razem jednak to babcia, z małą wnuczką i zięciem, który dopiero startował w swoim fachu, powtarzała wszystkim, że pewnego dnia mój ojciec zostanie znanym pisarzem i nie będzie potrzebował stałej pracy ani regularnego wynagrodzenia, żeby utrzymać rodzinę, ponieważ zarobi na życie pisaniem.

Gdy spoglądam wstecz, widzę, że wiara babci w mojego ojca była niezachwiana. Dottie nie ufała nikomu, nie wierzyła na słowo, zawsze podejrzewała wszystkich o najgorsze. I niestety ten jej specyficzny sposób patrzenia na ludzi, przez ciemne okulary, często sprawiał, że widziała prawdę.

A tu trafił jej się pewny siebie zięć, wciąż z wykałaczką w zębach. Doskonale opowiadał dowcipy, ale czy miał jeszcze jakieś inne atuty poza niewzruszonym przekonaniem, że talent kiedyś przyniesie mu pieniądze?

Wbrew wszystkim swoim uprzedzeniom i zazwyczaj surowej ocenie Dottie odsunęła od siebie sceptycyzm i postanowiła mu zaufać.